

Imię

Florence Knapp

PRZEŁOŻYŁA EWA BORÓWKA

MARGINESY

The Names

COPYRIGHT © 2025 Florence Knapp

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Borówka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Mojemu mężowi Ianowi, z wyrazami miłości

PROLOG

październik 1987

Moja matka zawsze mawiała, że wiatr mąci dzieciom w głowach, że nawet te z natury spokojne wracają z podwórka niezdrowo pobudzone. Cora czuje to teraz sama, ten niepokój. Na zewnątrz ostre porywy targają rosnącymi za domem jodłami, wpadają w zaułek między budynkami i rzucają się na furtkę. W środku krążą i kotłują się zmartwienia. Bo jutro – jeśli jutro nadejdzie, jeśli nawałnica ucichnie – Cora wskaże w urzędzie imię swojego syna. Czy też raczej – i to ją najbardziej trapi – oficjalnie zadecyduje o jego przyszłości.

Corze nigdy nie podobało się imię Gordon. Zaczyna się od sylaby ostrza, jakby ktoś rozłupał landrynkę, a kończy sylabą łomotem, jakby ktoś rzucił na ziemię torbę treningową. Gordon. Bardziej jednak martwi ją to, że musi teraz nadać wszystkiemu, co w jej synu najcenniejsze, zamkniętą formę, z nadzieją, że okaże się wystarczająco silny, by odnaleźć w niej własny kształt. Gordon to bowiem imię przekazywane w linii męskiej w rodzinie jej męża i zdaje się, że inaczej być nie może. Ale ona i tak toczy wewnętrzną walkę i przypomina sobie, ile razy myślała o tym, że to, jak się ktoś nazywa, wpłynęło, być może, na jego losy. Amelia Earhart. Bracia Lumière. A dopiero co, może tydzień wcześniej, zobaczyła na stoliku nocnym męża

książkę *Neurologia kliniczna*, której autorem był Lord Walter Russell Brain*.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – spytała.

– Zbieg okoliczności – odparł Gordon. – Nie uwierzyłaś, jak często zdarzają się wśród urologów ludzie o nazwisku Burns, Cox i Ball. A wśród ortopedów nierzadko trafia się pan Legg**.

Korciło ją, żeby zapytać: „I nie dostrzegasz ryzyka? Nie rozumiesz, że jeśli nazwiemy naszego syna Gordon, to prawdopodobnie skończy jak ty?”. Ale nie mogła. Bo o to przecież chodziło.

Przykłada bok zgiętego palca do ciepłego policzka niemowlęcia, jakby przez skórę było w stanie jej przekazać najważniejszą informację. Czego chce. Kim może zostać. Nim jednak zdąży cokolwiek przepowiedzieć, coś uderza z impetem w tylną ścianę domu, głośno i odczuwalnie. Cora przytuliła dziecko mocniej, a tymczasem migające na dworze lampy z czujnikami ruchu oświetlają rozkołysane sylwetki drzew. Najpierw potężnych, groźnie pochylonych w stronę domu, później jakby wycofanych, a potem znów ogromnych. Słyszy, jak Gordon wychodzi z sąsiedniego pokoju i pędzi schodami na dół; wyobraża go sobie, jak idzie w piżamie przez ciemny salon w stronę drzwi na patio, po czym stoi w sнопie światła i pozbawiony soczewek kontaktowych, mruży oczy, próbując ustalić, co się przemieściło. Wyobraża go sobie małego wobec złowrogich drzew, wobec ogromu nawałnicy.

* *Brain* (ang.) – mózg. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** *Burns* (ang.) – tu: szczypie; *cox* (ang.) – homofon liczby mnogiej słowa *cock* (tu: kutas); *ball*, właśc. *balls* (ang.) – tu: jaja; *leg* (ang.) – noga.

Po kilku minutach Gordon otwiera drzwi pokoju dziecięcego, a Cora czuje powiew chłodnego powietrza, jakby przytępiło mu się ono do ubrania i podążyło za nim na górę.

– To tylko konewka – mówi on. – Wracaj już do łóżka.

– Niedługo przyjdę – przytakuje ona. Ale nie chce zostawić dziecka samego, więc pozwala mu dalej spać z główką ciążącą jej na ramieniu, gdy tymczasem odgłosy burzy wyznaczają kolejne minuty nocy ustępującej z wolna dniowi.

Gordon rozmawia ze współpracownikiem, który dostał się już do przychodni. Cora słyszy, jak wspominają o wczorajszym braku alertów w związku z warunkami atmosferycznymi i o tym, że personel może nie dojechać do pracy, więc istnieje szansa, że dzisiejsze wizyty zostaną odwołane. Cora jedną ręką szykuje śniadanie – na drugiej ma dziecko – i jednocześnie pomaga Mai złapać lokalną stację, w której odczytywana jest lista szkół zamkniętych z powodu szkód wyrządzonych przez nawalnicę. Pośród nieznanymi podstawówek pojawia się szkoła Mai, a ona kwituje to przelotnym, lecz promiennym uśmiechem i w milczeniu pokazuje uniesione kciuki; zaraz jednak je opuszcza, bo do kuchni wchodzi ojciec.

Gordon chwyta w biegu tosta i rzuca:

– W niedzielę przyjeżdżają moi rodzice. Koniecznie wybierz się dziś do urzędu. – Dwa następujące po sobie zdania oznajmujące, wypowiedziane tak, jakby jedno uzasadniało drugie. – I nie idź skrótem przez błonia – dodaje.

Ekshibicjoniści, mordercy, a dziś dodatkowe zagrożenie w postaci spadających po burzy gałęzi.

Domy na ich ulicy ozdobione są nibymajestatycznymi kolumnami, pod jednakowymi, pozbawionymi wyrazu oknami rosną niskie, równo przyszyżone krzewy. Gdy Cora wychodzi z dziećmi na chodnik, wokół raczej nie widać śladów burzy. Jednak poza ślepą uliczką, przy której mieszkają, krajobraz jest tak nierzeczywisty, jak po wyjściu z kina na światło dzienne. Drzewa stoją przechylone pod osobliwymi kątami. Otwory po przewróconych panelach ogrodzeniowych zapraszają na cudze podwórka. Chodnik przegradza obrotowa suszarka do bielizny. Kilka domów dalej żywopłot z ligustru przechwycił męską koszulę, do ramion przyczepione są jeszcze klamerki. Maia próbuje omieść to wszystko wzrokiem; miasto zaczęło przypominać nagle łamigłówkę w stylu „znajdź różnice”.

Idą skrajem błoni, wymijając odłamane gałęzie, i zatrzymują się przy ogromnej, zlepionej grudami ziemi bryle korzeniowej dębu, w której roi się od robaków. Maia daje nura do utworzonej poniżej jamy.

– Uważaj, nie ubrudź sobie kurtki – rzuca Cora.

To jego słowa. Ona sama odruchowo zachęciłaby Maię do położenia się pod korzeniami, wdychania mocnej piżmowej woni ziemi, wyobrażenia sobie, że jest zwiniętym w kłębek lisieciem. Maia ma dziewięć lat, już za chwilę będzie na takie rzeczy za duża.

Dziewczynka wychodzi i otrzepuje kurtkę. Przed przejściem dla pieszych, obok którego jak odrąbana głowa leży bursztynowa kula sygnalizatora ulicznego, czekają, aż ktoś się zatrzyma. Maia patrzy na wózek i pyta:

– Czemu ja nie mam na imię tak jak ty, skoro on będzie miał tak jak tata?

Cora uniesieniem dłoni dziękuje kierowcy.

– Ależ masz. Tylko nikt inny o tym nie wie – wyjaśnia, gdy przechodzą przez pasy. – Maia oznacza matkę. Jak wrócimy do domu, to mogę ci to pokazać w mojej księdze imion.

– Naprawdę?

Corę dziwi autentyczna radość córki.

– To czemu nie damy mu imienia, które znaczy „tata”?

Cora patrzy na niemowlaka, na jego krąglą jak księżyc w pełni twarz otuloną kapturem obszernego zimowego śpiworka. Zatrzymuje się, pochyla nad wózkiem i czuje bijącą od synka ciepłą woń zasypki. Na widok jej oczu dziecko trzepocze radośnie powiekami i opiewa tę chwilę gorączkowym przebieganiem opatulonych nóg. To nie żaden Gordon. Cora odpowiada czułym mruganiem i z powrotem się prostuje.

– A wiesz, nawet sprawdzałam, które imiona oznaczają ojca, i spodobało mi się między innymi Julian, które znaczy „ojciec niebieski”.

Z punktu widzenia Cory symbolizowałoby to odcięcie się od długiej linii zaburzonych ojców ziemskich i zastanawiała się przez chwilę, czy Gordon zgodziłby się na taki kompromis. Skoro Julian znaczy „ojciec”, skoro nadal byłby to ukłon w jego stronę, to chyba niemal tak samo dobrze? Ale któregoś wieczoru wrócił wcześniej do domu i zobaczył na sofie otwartą księgę imion; podniósł ją, odwrócił i spojrzał przelotnie na treść. „Pamiętaj, Cora, tylko imiona dziewczynek. Chłopcu damy Gordon”. A gdy zamknął ją z trzaskiem i odłożył z powrotem na regał, jakimś sposobem zamknięta została również furtka do rozmowy.

– Julian ładne – mówi Maia.

– Prawda? A jak ty byś go nazwała? – pyta Cora. – Gdybyś mogła wybrać?

– Noo... – Choć w jej głosie słysząc wahanie, Cora nie ma wątpliwości, że Maia już to przemyślała. – To nie jest całkiem normalne imię, ale podoba mi się Bear*.

– Bear? – powtarza z uśmiechem Cora.

– Tak. Brzmi tak delikatnie, przyklepnie i miło – odpowiada Maia, rozwierając i zaciskając palce, jakby ugniatała coś słodziutkiego. – Ale wydaje się też odważne i silne.

Cora patrzy na niemowlę i wyobraża sobie, że posiada ono te wszystkie cechy. Życzy mu tego.

Bliżej centrum zaczęły się już porządki. Dwóch mężczyzn z piłami pocięło zwalone lipy na poręczniejsze kłocze i w chodnikowych misach na drzewa zostały same ogołocone pniaki.

Maia macha nieśmiało do drobnej jasnowłosej dziewczynki, której „cześć” ginie pośród łoskotu maszyn. A po tym, jak się mijają, mówi Corze:

– To Jasmine. Z lekcji baletu.

– A, ta, której starsza siostra występowała w...

– Sadler Swells. Ale mam pytanie. – Maia wraca naprędce do poprzedniego tematu, zanim Cora zdąży ją poprawić**. Nabiera tchu, jakby zamierzała powiedzieć coś zakazanego, po czym pyta: – Czemu to takie ważne? W sensie dla taty. Żeby miał tak samo na imię.

Cora ma ochotę odpowiedzieć, że to ważne, bo czasem wielcy mężczyźni czują się mali w środku. Bo niektórzy ludzie – jak ojciec Gordona – idą przez życie w przekonaniu, że tak dalece nie dotyczy ich konieczność samodoskonalenia,

* *Bear* (ang.) – tu: niedźwiedź, miś.

** Prawidłowa nazwa wspomnianej londyńskiej sali widowiskowej, przy której mieszczą się także renomowane studia tańca, to Sadler's Wells.

że ich imię powinny nieść ich dzieci oraz dzieci ich dzieci. Bo niekiedy potrzeba zadowalania wcześniejszych pokoleń jest większa niż potrzeba obdarzania miłością tych przyszłych. Cora ma poczucie, że to coś w rodzaju pierwotnego, plemiennego bicia się w piersi. Ale niczego takiego Mai nie mówi. Ona i tak wystarczająco dużo wychwytuje. Nazajutrz po nieporozumieniu, choćby nie wiadomo jak milcząco Cora je zniosła, Maia dopada ją rano stojącą przy zlewie, obejmuje w pasie cienkimi ramionkami, przystawia policzek do jej pleców i mówi: „Moja śliczna mamusia”. W takich chwilach Cora wyczuwa u niej współczucie, wspólny smutek. Raz poczuła też, że sukienka jest wilgotna w miejscu, w którym spoczywała parę chwil wcześniej twarz Mai.

– Po prostu dla niektórych tradycja jest bardzo ważna – wyjaśnia.

– Ale posiadanie własnego imienia też. Czasami? Może nawet tata chciałby mieć swoje własne.

Cora zdejmuje rękę z uchwytu wózka i otacza Maię ramieniem.

– Mądra z ciebie dziewczynka.

Znów zaczyna się zastanawiać, czy dobrze postępuje. Może trochę, a może wcale. Powątpiewa nawet, czy sam Gordón słusznie podtrzymuje tę tradycję. Niewykluczone, że zgoda na życie w cieniu ojca oraz jego ojca jedynie utrwała podobieństwo, zwiększa ciężar jego brzemienia. Może nadanie dziecku innego imienia byłoby wyzwalające. Nie od razu, lecz na dłuższą metę.

No i Maia. Czy ona sama nie uczy właśnie córki, że lepiej mieć święty spokój, niż postępować, jak należy? Cora zadaje sobie pytanie, co Maia sądzi o tym, że mama zgodziła się

PROLOG

nadać jej bratu imię, które powiąże go z pokoleniami apodyktycznych mężczyzn. I pojmuję nagle, że choć imię córki miało podkreślać ich niewidzialną więź, ujawnienie jego znaczenia także może ją obciążyć. Możliwe, że ona sama mimowolnie dała jej do zrozumienia, że ich życiowe ścieżki mają pozostać zbieżne, choć w głębi duszy ma szczerą nadzieję, że jej dzieci wydepczą własne.